

Marek Sołtysik

Z tajemnic École de Paris

Palestra 49/11-12(563-564), 150-154

2004

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

PROCESY ARTYSTYCZNE

Marek Sołtysik

Z TAJEMNIC ÉCOLE DE PARIS

– To czwarty rozbiór Polski! – wykrzyknął Mojżesz Kisling raniony w nos przez swego przyjaciela Leopolda Gottlieba podczas głośniego pojedynku na pistolety i szable, który odbył się w czerwcu 1914 roku w Paryżu. Kończyła się już piękna epoka; na kilka lat rozejdą się także drogi wspomnianych przyjaciół z Galicji – krainy, która niebawem przejdzie do historii.

Dwudziestotrzyletni wówczas artysta malarz Mojżesz Kisling, syn krawca z dobrego punktu na krakowskim Kazimierzu (ul. Krakowska 22), mieszkał od czterech lat w Paryżu i jako „książę Montparnasse’u” był już okrzyczany. Nieodczony uczestnik wesołych imprez, organizowanych z wyobraźnią i bez śladu chamstwa, dusza towarzystwa, człowiek posiadający umiejętność skutecznego dogadania się zarówno z nadętym dygnitarzem, jak i z konsjerżką, która w końcu nikogo prócz niego nie słuchała, pojedynkował się z trzydziestopięcioletnim artystą malarzem Leopoldem Gottliebem (człowiekiem z dłuższym, bo dziesięcioletnim paryskim stażem), bratem błogosławionej pamięci Maurycego Gottlieba, umiłowanego ucznia Matejki, zgasłego w dwudziestym trzecim roku życia najwybitniejszego polskiego malarza pochodzenia żydowskiego.

Gottliebowie, czterej bracia malarze (do klanu doszedł malarz szwagier Mieczysław Jakimowicz), byli synami Izaaka, potężnego przedsiębiorcy, właściciela kopalni, rafinerii ropy w Drohobyczu, pełnym zgiełku i dziwności mieście w Galicji – *notabene*, znakomicie opisanym przez adwokata Stanisława Antoniego Muellera w jedynej jego wydanej powieści „Henryk Flis” (Lwów 1908, wznowienie Kraków 1976). Później o ćwierćwiecze opisana główna arteria Drohobycza, nazwana „Ulicą Krokodyli” przez innego utalentowanego drohobyczanina Bruno Schulza, jest u Muellera pełnym naftowego błota miejscem na ziemi, gdzie pośród tajemniczych oparów kłębią się jak w somnambulicznym tańcu namiętności ludzkie, wyzwolone ku zagładzie przez fatalistyczną kobietę, która gwoli zaspokojenia swoich intymnych praktyk zamienia twardych mężczyzn jedynie w podatne narzędzia. Dla uniknięcia kłopotów autor, prawnik przecieź, zamienił nazwę Drohobycz na Rakomysz, ale poza tym wszystko się zgadza.

Wróćmy do pojedynku. Pierre Sichel, autor biografii „Modigliani” (przekład polski Maria Skibniewska, Warszawa 1974) pisze o pojedynku jako o „najgłośniejszym wydarzeniu wczesnego lata”. Nina Wasiljewa, filigranowa, acz energiczna malarka, stypendystka cara (!), prowadziła charytatywną kantinę dla kolegów artystów w swojej pracowni i dzięki temu, że prawie codziennie gromadzili się u niej zamieszkalili lub koczujący w Paryżu malarze i rzeźbiarze, przybysze bądź uciekinierzy z Europy Wschodniej, wraz z artystami z Włoch, Hiszpanii, Japonii, Danii, a nawet z obu Ameryk, skupieni w specyficzną grupę znaną w historii sztuki jako École de Paris, której Kisling był jedną z najważniejszych postaci, miała idealny wgląd w wydarzenia co rusz wstrząsające kolonią artystyczną. Sichel więc za relacją Niny Wasiljowej podaje, że między Kislingiem i Gottliebem wybuchła sprzeczka. Co ją wywołało, tego nie podają źródła: o pojedynku piszą polscy i francuscy świadkowie zdarzeń, m.in. malarka Alicja Halicka, żona sławnego malarza Louisa Marcussisa [Ludwika Markusa] („Hier”, Paryż 1946, „Wczoraj”, Kraków 1971, autoryzowany przekład Wandy Błońskiej), ślad tego epizodu istnieje także w pracach naukowych, lecz nikt nie podaje przyczyny sporu.

Legendarny Meksykanin, malarz Diego Rivera wystąpił w roli sekundanta Kislinga. O tym natomiast, że Gottlieb, acz starszy od adwersarza i ze sporym dorobkiem malarskim, miał słabe notowania w Paryżu, świadczy fakt, że zachodni autorzy raczej piszą o nim tylko przy tej okazji i to zaledwie o „niejakim Gottlieb”, bez podania imienia w indeksie. Kisling więc – w niebieskiej bluzie roboczej i z czarną grzywką przyciętą ekstrawagancko (według jednych wyglądał jak Eskimos, wierny temu wyobrażeniu jest jego portret pędzla Modiglianiego, innym, co przekazuje fotografia, jako że o kobiecych za młodu rysach, przywoził na myśl Joannę d’Arc) był wszechobecny i do dziś pozostał w żywej pamięci. Wysublimowany Gottlieb, twórca wyszukanych kolorystycznie obrazów figuralnych o filozoficznym podtekście, należał widocznie do twórców, którym jest dane pracować w ciszy. Bez dobrze dopingu, ale i bez fanfar. Nie każdy znosi ostre dźwięki. Nawet poklask rozprasza.

„O świcie – pisze Sichel – przeciwnicy stawili się w Parc de Princes w głębi Lasku Bulońskiego – i **POJEDYNEK ODBYŁ SIĘ PRZED OBIEKTYWEM KAMERY PEWNEGO PRZEDSIĘBIORCZEGO FILMOWCA**” (podkr. MS).

Szable były tępe, ciężkie; bezpieczniejsze niż pistolety. Honorowi stało się zać: skrzyżowało się żelazo i połała się krew.

Kisling został lekko draśnięty w nos. Podobno plaster nalepiono celowo tak, żeby nie całkiem zakrywał skrzepniętą krew. Ranny i z opatrunkiem Kisling wkroczył tryumfalnie do „Rotonde”, kawiarni artystów Montparnasse’u, słynnej już wtedy i istniejącej do dziś (część przerobiono na kino). Przeważają głosy, że *esprit de riposte* Kislinga należy zawdzięczać *zwischenruf* o czwartym rozbiórce Polski, Sichel jednak przychyła się do relacji innego świadka wydarzeń, który po latach, w rozmowie z nim wspominając okrzyki kolegów winszujących Kislingowi w „Rotonde”, twierdzi autorytatywnie, że to Modigliani witając przyjaciela (jak się okaże, będzie go

miał aż po grób i to Kisling zdejmie jego maskę pośmiertną) powiedział: – „Wydaje się naturalne, że Polska uległa czwartemu rozbiorowi!”

A przecież według Crespella, wiarogodnego badacza i uczestnika wydarzeń, to jednak „Kisling zawołał: «Czwarty rozbiór Polski!»” – gdy go dosięgło ostrze przeciwnika i walkę uznano za skończoną.

A może do Modiglianego wieść o celnym okrzyku Kislinga doszła wcześniej niż pojawienie się przyjaciela w „Rotonde” i przeto jego słowa były wrażeniem z oglądzin zranionego nosa, połączonym z komentarzem dla tego co rano w Lasku Bułońskim powiedział był jego posiadacz.

Już nazajutrz wieczorem został wyświetlony film, który przydał uczestnikom rozgłosu, a jednocześnie świadczył, że panowie artyści bili się nie na żarty. Stugębna plotka niosła się po Paryżu – a przystojny Kisling, męczyzna pogodnego usposobienia, ubawiony aferą, był gwiazdą pośród oblewających pojedynkę „przez cały dzień i do późna w noc za główną salą «Rotonde»”. Brak informacji, gdzie wówczas przebywał Gottlieb.

Jak powszechnie wiadomo, Kisling – który jednak częściej pracował niż ulegał czarowi zabawy, a w obliczu spraw poważnych umiał zachować rozsądek – używał swojej pracowni Modiglianemu. Tam, na siódmym piętrze kamienicy przy rue Joseph Bara 3 Modigliani malował farbami i pędzlami przyjaciela, na jego sztaludze ustawivszy blejtram z płótnem naciągniętym przez Kislinga... Sam Kisling pośród pijanego zgiefku gości dniem i nocą odwiedzających jego pracownię potrafił malować wyraziste portrety znanych osobistości, smaczne martwe natury i zmysłowe kobiece akty, za którymi uganił się marszandzi także i zza Oceanu. Takim zobaczył kolegę ze studiów w krakowskiej Akademii, a obecnie przyjaciela Picassa i Cocteau, znany potem w Polsce malarz, profesor Eugeniusz Geppert, przybyły na krótko do Paryża („Moja droga”, Kraków 1968): „Kislinga spotykałem częściej. Był stałym bywalcem w kawiarniach, wesóły, rubaszny, przyjacielski i łatwy w obejściu. Wystawiał dużo, miał indywidualne wystawy, rozgłos i powodzenie. Malarstwo jego, robione z dużym temperamentem, sugestywne, choć może trochę błyskotliwe, o silnych zestawieniach kolorów, tkwiło wyraźnie w atmosferze ówczesnego Paryża i założeń École de Paris”.

École de Paris: „stu artystów, dwadzieścia sławnych nazwisk (...) bujny plon, obfitujący w dzieła oryginalne. Szkoła Paryska, którą w znacznej mierze tworzyli Żydzi pochodzący ze Wschodu, nosiła piętno barokowego ekspresjonizmu i właściwej żydowskiej duszy melancholii. Słusznie to określił Bernard Dorival: «Nawet szczęśliwe dni są dniami przygnębienia; na przykład przedstawiane przez Chagalla święta napełniają nas uczuciem rozdzierającego smutku. Zło (...) na tym świecie wszechmocne, dzieli się władzą ze swą przyjaciółką śmiercią, tą drugą obsesją École de Paris. Chagall dostrzega ją pod śniegiem stepów; urzeczony nią Soutine maluje swoje arcydzieła (...). Zadkine, Lipchitz, nie wyzbywając się żydowskiego liryzmu, potrafili ująć go w karby kubistycznej dyscypliny”. W École de Paris „byli ponadto artyści, których trudno sklasyfikować, jak Modigliani – Żyd przybyły z Livorno

– którego wytworna i dekadencja sztuka sięga do prymitywów sieneńskich, jak Focault, który potrafił stworzyć syntezę tradycyjnej sztuki japońskiej i zachodniej sztuki awangardowej (...). École de Paris, „różnorodna i bogata w niezwykle talenty... dała początek dzisiejszej sztuce awangardowej”.

Powyższe słowa, charakteryzujące specyfikę École de Paris, która narodziła się z przemieszania ras i kultur, każą natychmiast zrewidować lekkomyślne zdanie Gopperta. Te celne określenia wyszły spod pióra wspomnianego tu Jeana-Paula Crespella („Montparnasse w latach 1905–1930”, Paryż 1978, przekład polski Eligia Bąkowska, Warszawa 1989), któremu powinno się wierzyć, ale może nie do ostatniego szczegółu; Crespell w swej znakomicie skonstruowanej książce, nad którą pracował przez ćwierć wieku, podaje na przykład, że Kisling, którego porównał do „eskimoskiego hydraulika” (grzywka i robotnicza bluza) „był utrzymywany przez pewnego mecenasa z Krakowa”, podczas gdy źródła polskie, zbliżone do rodziny malarza (która zresztą wg Sichela przesyłała mu regularnie apanaże) podają, że na życie i sztukę artysty łożył ktoś inny. Kto? Źródło, owszem, było w Krakowie. Pod Wawelem, jeszcze jako student ASP, w podniebnym atelier otwartego na talenty ziomek, znakomitego malarza Samuela Hirszenberga w secesyjnym domu „Pod Szarotkami” przy ul. Smoleńsk – gdzie zresztą zawiązała się przyjaźń Kislinga z Gottliebem – artysta poznał osobiście wybitnego powieściopisarza żydowskiego, piszącego w języku jidysz, Szaloma Asza, rodem z Kutna, który przyjechał odwiedzić Kraków. Barbara Brus-Malinowska i Jerzy Malinowski w katalogu wystawy dzieł z kolekcji Musée du Petit Palais w Genewie w Muzeum Narodowym w Warszawie pt. „Kisling i jego przyjaciele” (Warszawa 1996) piszą: „W najtrudniejszym momencie życia, po przyjeździe do Paryża, artyście pomógł Asz, który zapewnił mu prywatne stypendium anonimowego moskiewskiego prawnika. (Kisling później odwdzieczył się Aszowi, malując w 1927 portret jego żony)”. Słownik artystów polskich (tom III, Warszawa 1979) w związku z okresem aklimatyzacji malarza w Paryżu podaje: „Przez rok otrzymywał subsydlum od nieznanego z nazwiska mecenasa moskiewskiego, który zobaczywszy prace Kislinga, zaofiarował mu subsydlum na 1 rok po 150 fr. miesięcznie”.

Podobno pieniądź nabiera szacunku do ludzi, którzy źle się obchodzą z pieniędzmi. Kisling do takich ludzi należał. Modigliani zaprzyjaźnił się z nim w dniu, kiedy Kisling sprzedał obraz za sto franków, idąc ulicą z Modiglianem, całą tę sumę wydał na kwiaty, które rozdawał kobietom – bez względu na ich wiek i urodę. Na marginesie: ten właśnie letkiewicz w sprawach finansowych, Mojżesz Kisling, po latach z dnia na dzień stał się niespodziewanie bogaczem. W 1916 roku otrzymał spadek, po Chapmanie Chandlerze, amerykańskim rzeźbiarzu, z którym przed wojną odwiedzał knajpy Montparnasse’u, a który wstępując jako ochotnik do francuskiego lotnictwa, przeczuł, że go zestrzelą i w testamencie spisanim przed wyruszeniem na front jako spadkobiercą wskazał Kislinga. Dwadzieścia pięć tysięcy franków!

W każdym razie Crespelle utrzymuje, że Kisling to „kawalarz, który lubił epatować raczej kompanów niż mieszczuchów” i przytacza jego sensowną, ale w tym

kontekście czyż nie uszczypliwą uwagę pod adresem Modiglianiego, zresztą brata ówczesnie głośnego polityka i dyplomaty: „Jeżeli ktoś dostaje dwieście franków miesięcznie na utrzymanie i przepuszcza z tego sto dziewięćdziesiąt na alkohol i narkotyki, to oczywiście cierpi nędzę”.

Z drugiej strony Sichel o Kislingu: „Bywał gwałtowny i brutalny, kłopotliwy dla marszandów. Temperament miał bujny. Za to polubił go Modigliani”. I komu tu wierzyć? Prawda tkwi oczywiście pośrodku. Warto tedy dalej posłuchać Sichela: „Bawił się – ale nie przebierał miary jak Modigliani – i w przeciwieństwie do Modiglianiego nie przejmował się swym żydostwem”.

Wybuch I wojny światowej zastał Kislinga w Holandii, dokąd wyjechał ze swym marszandem, polskim krytykiem Adolfem Baslerem, paryskim przedstawicielem głośnego berlińskiego pisma „Die Aktion”. Bez wahania wrócił do Paryża, zaciągnął się do Legii Cudzoziemskiej, podobnie jak jego dobry kolega Szamaj Mondszajn, z którym za namową profesora Józefa Pankiewicza dla zalet artystycznego Paryża opuścił krakowską Akademię. Ruszył na front jako jeden z pierwszych. W 1915 został ciężko ranny w bitwie pod Carency nad Sommą – w walce wręcz zgnieciono mu kolbą karabinu klatkę piersiową. Leczył się z ran w Audierne, w Madrycie i w Sagunto. Za udział w wojnie otrzymał obywatelstwo francuskie. Wrócił na Montparnasse. Rekonwalescencję kontynuował... w „Rotonde”, podobnie jak Apollinaire, Zadkine, i jak wielki pisarz Blaise Cendrars z odciętą na wojnie prawą ręką.

Zawróćmy. Zasiedziało w Paryżu, ale bawiącego, co mu się często zdarzało, na wakacjach w Krakowie, Leopolda Gottlieba wybuch I wojny światowej skierował do kwatery prasowej armii austriackiej. Stamtąd malarz uciekł do Legionów i w latach 1914–1918 służył w I Brygadzie. Przez Juliusza Kadena-Bandrowskiego nazwany Malarzem I Brygady, wykonał w tym czasie co najmniej tysiąc rysunków! Portrety oficerów i żołnierzy, codzienność wojska i sceny wojenne, pejzaże przed i po przejściu wojsk, na czele ze wspaniale reprezentacyjnym „Sztabem I Brygady Legionów”. Wreszcie odbita w szlachetnej technice litografii teka „Legiony”. Te prace, wraz z portretami marszałka Piłsudskiego jego autorstwa, pokazywane na objazdowych wystawach legionowych w Berlinie, Wiedniu, Zurychu, Bazylei, potem w Krakowie, Lublinie i Warszawie, rozślawiły imię Leopolda Gottlieba. W 1920 roku artysta jednak wrócił do Francji, choć z racji zasług mógłby żyć w wolnej Polsce nader korzystnie.

A co z zamierzczłym już pojedyńkiem? Poszło o sztukę czy o politykę? Może właśnie o Polskę?

Tego jednak prawdopodobnie już się nie dowiemy.